

KATHARINE MCGEE

Tysiąc prefer



IM WYŻEJ JESTEŚ,
TYM NIŻEJ MOŻESZ UPAŚĆ...

moondrive

KATHARINE MCGEE

Tysiąc prefer

TŁUMACZENIE MARIUSZ GADEK

moondrive

KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: *The Thousandth Floor*

Copyright © 2016 by Alloy Entertainment and Katharine McGee.

Published by arrangement with Rights People, London



Produced by Alloy Entertainment, LCC

Copyright © for the translation by Mariusz Gądek

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Zespół – Wydawnictwo PLUS

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: dziewczyna – © Yuriy Zhuravov / Shutterstock.com,

Nowy Jork – © Alinute Silzeviciute / Shutterstock.com,

taras – © zhu difeng / Shutterstock.com

Fotografia autorki: Chris Bailey Photography

ISBN 978-83-7515-249-4

moondrive
www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Dla Lizzy

PROLOG

Listopad 2118 roku

Na tysięcznym piętrze stopniowo przycichały dźwięki muzyki i odgłosy śmiechu, impreza z każdą minutą dogorywała i nawet najbardziej wytrwali goście zmierzali chwiejnym krokiem do wind, żeby zjechać w dół, do swoich domów. Rozciągające się od podłogi do sufitu okna wyglądały niczym prostokąty aksamitnej ciemności, choć w oddali powoli wschodziło już słońce, a linia horyzontu mieniła się barwami ochry, bladego różu i miękkiego, połyskującego złota.

Nagle ciszę rozdarł krzyk lecącej w dół dziewczyny – jej ciało spadało coraz szybciej, przecinając chłodne, wczesnoranne powietrze.

Za niespełna trzy minuty dziewczyna miała uderzyć o bezliptosny beton East Avenue. Ale w tej chwili – z włosami łopoczącymi na wietrze niczym chorągiew, w opinającej ciało jedwabnej sukience oraz z jasnoczerwonymi ustami zastygłymi w idealnie okrągłym okrzyku przerażenia – wyglądała piękniej niż kiedykolwiek.

Mówią, że tuż przed śmiercią całe życie przemyka ludziom przed oczami. Ale zbliżając się coraz szybciej do ziemi, spadająca dziewczyna myślała jedynie o kilku ostatnich godzinach swego życia, o obranej przez siebie drodze, która zaraz miała gwałtownie się skończyć. Gdyby tylko z nim nie rozmawiała. Gdyby tylko nie była taka głupia. A przede wszystkim – gdyby tylko nie poszła dziś na górę.

Kiedy ochroniarz monitorujący dok znalazł to, co pozostało z ciała dziewczyny, i roztrzęsiony zgłosił, że doszło do wypadku, wiedział jedynie, że to pierwsza osoba, która spadła z Wieży w ciągu dwudziestu pięciu lat jej istnienia. Nie wiedział jednak, kim była ofiara ani jak wydostała się na zewnątrz.

Nie miał pojęcia, czy spadła, została zepchnięta czy też – przygnieciona ciężarem skrywanych sekretów – sama postanowiła skoczyć.

AVERY

Dwa miesiące wcześniej

– Świetnie się dziś bawiłem – powiedział Zay Wagner, odprowadzając Avery Fuller do drzwi jej rodzinnego penthouse’u. Wracali właśnie z Nowojorskiego Akwarium na 830 piętrze, gdzie tańczyli ze znajomymi w delikatnym blasku bijącym od wypełnionych rybami zbiorników. Avery wprawdzie nieszczerze lubiła to miejsce, ale jak zwykła mówić jej przyjaciółka Eris, impreza to w końcu impreza, co nie?

– Ja też. – Avery pochyliła swoją jasnoblond głowę w kierunku skanera siatkówki oka i drzwi się otworzyły. – Dobranoc. – Obdarzyła Zaya uśmiechem.

Chłopak złapał ją za rękę.

– Myślałem, że może pozwolisz mi wejść. Skoro twoi rodzice wyjechali i w ogóle...

– Przepraszam – wymamrotała Avery i ziewnęła, żeby ukryć rozdrażnienie. Powinna się tego spodziewać. W końcu Zay przez całą noc wykorzystywał każdą okazję, żeby jej dotknąć. – Jestem skonana.

– Avery. – Zay puścił jej rękę, cofnął się o krok i przeczesał palcami włosy. – Reagujesz tak od tygodni. Czy ty mnie w ogóle lubisz?

Avery otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Przez twarz Zaya przemknęło jakieś uczucie – ale co to było? Irytacja? Zmieszanie?

– Rozumiem. Zobaczymy się później – powiedział i ruszył w kierunku windy. Na koniec odwrócił się i zmierzył Avery wzrokiem. – Wyglądałaś dziś naprawdę pięknie – dodał, po czym drzwi windy zamknęły się za nim z cichym szcęknięciem.

Avery westchnęła i weszła do ogromnego holu swojego mieszkania. Zanim się urodziła, kiedy Wieża nadal była w trakcie budowy, jej rodzice bardzo mocno rywalizowali z innymi chętnymi o kupno tego mieszkania. Zajmowało ono całe najwyższe piętro i jako jedyne w całym budynku miało dwupoziomowy hol. Rodzice byli niezwykle dumni z tego holu, za to Avery go nie znosiła: pusta przestrzeń sprawiała, że jej kroki odbijały się głuchym echem, a na każdej płaskiej powierzchni błyszczały lustra. Gdziekolwiek popatrzyła, wszędzie widziała własne odbicie.

Zrzuciła z nogó szpilki i na bosaka ruszyła w stronę swojego pokoju, zostawiając buty na środku korytarza. Jutro ktoś je sprzątnie, pewnie któryś z botów albo Sarah, jeśli tym razem przyjdzie punktualnie.

Biedny Zay. Avery naprawdę go lubiła, zawsze ją rozśmieszał. Uważała, że jego głośny, zakręcony sposób bycia jest całkiem zabawny. Ale gdy się pocałowali, nie poczuła nic.

Jedynym chłopakiem, którego Avery pragnęła pocałować, był ten, którego przenigdy pocałować nie będzie mogła.

Weszła do swojej sypialni i usłyszała cichy szum wybudzonego komputera pokojowego, który przeskanował jej organizm i dostosował do niego temperaturę otoczenia. Na stoliku obok staroświeckiego łóżka z baldachimem pojawiła się szklanka wody z lodem – prawdopodobnie dlatego, że w jej pustym żołądku wciąż buzował szampan – choć Avery nawet o nią nie prosiła. Po tym jak Atlas wyjechał z miasta, wyłączyła funkcję głosową w komputerze. To Atlas zaprogramował w nim brytyjski akcent i nazwał go Jenkinsem. Rozmawianie z Jenkinsem bez Atlasa wprawiało ją w przygnębienie.

Słowa Zaya wciąż rozbrzmiewały echem w jej głowie. „Wyglądałaś dziś naprawdę pięknie”. Próbował tylko

powiedzieć jej komplement i nie mógł przecież wiedzieć, jak bardzo Avery nienawidziła tego określenia. Przez całe życie na każdym kroku słyszała, jaka jest piękna – od swoich rodziców, chłopaków, nauczycieli. Teraz to słowo straciło już dla niej znaczenie. Tylko jej przyrodni brat Atlas wiedział, że lepiej nie prawić jej tego typu komplementów.

Fullerowie poświęcili wiele lat i wydali mnóstwo pieniędzy na poczęcie Avery. Nie wiedziała dokładnie, jak bardzo kosztowne było jej stworzenie. Mogła się jedynie domyślać, że jej wartość była nieznacznie niższa od ceny ich mieszkania. Jej rodzice – oboje średniego wzrostu, o przeciętnej urodzie i z rzadzącymi brązowymi włosami – udali się do światowej sławy naukowca ze Szwajcarii, który pomógł im wydobyć to, co najlepsze, z ich wspólnego materiału genetycznego. Z mniej więcej miliona kombinacji przeciętnej DNA obojga Fullerów udało się wyłowić to jedno połączenie, które doprowadziło do powstania Avery.

Czasami Avery zastanawiała się, jak by wyglądała, gdyby rodzice poczęli ją w sposób naturalny lub gdyby przeskanowali ją jedynie pod kątem chorób, jak robiła to większość mieszkańców górnych pięt. Czy odziedziczyłaby po mamie chude ramiona, a po tacie – duże zęby? Nie żeby miało to teraz jakieś znaczenie. Pierson i Elizabeth Fullerowie zapłacili za t a k ą właśnie córkę: z włosami w kolorze miodu, długimi nogami, ciemnoniebieskimi oczami, obdarzoną inteligencją taty i bystrym umysłem mamy. Atlas zawsze żartował z Avery, że jej jedyną niedoskonałością był upór.

Avery bardzo chciała, żeby to była prawda.

Potrząsnęła głową, spinając włosy w luźny kok, i stanowczym krokiem wyszła z pokoju. W kuchni otworzyła szeroko drzwi do spiżarni i sięgnęła do uchwyty ukrytego mechanizmu. Natrafiła na niego przed laty podczas zabawy w chowanego z Atlasem. Nie miała pojęcia, czy rodzice w ogóle o nim wiedzieli, w końcu żadne z nich nigdy tu nawet nie zaglądało.

Avery pociągnęła metalowy panel i do ciasnej spiżarni zsunęła się drabina. Ściskając obiema rękami skraj jedwabnej sukni w kolorze kości słoniowej, pochyliła się i zaczęła wchodzić na górę, instynktownie licząc szczeble po włosku: *uno, due, tre*. Ciekawe, czy Atlas spędził w tym roku trochę czasu we Włoszech. O ile w ogóle pojechał do Europy.

Balansując na górnym szczeblu, Avery wyciągnęła rękę, żeby otworzyć klapę, po czym wyszła w smaganą wiatrem ciemność.

Poprzez ogłuszający ryk wiatru Avery usłyszała dudnienie rozmaitych maszyn na dachu, ukrytych w wodoszczelnych skrzyniach lub pod panelami słonecznymi. Jej bose stopy marzły na metalowych płytach platformy. Z każdego rogu budowli wznosiły się łukami stalowe podpory i łączyły się na środku, tworząc charakterystyczną iglicę Wieży.

Noc była pogodna, Avery nie czuła w powietrzu żadnej chmury, która mogłaby zwilżyć jej rzęsy lub pokryć kropelkami wilgoci skórę. Gwiazdy lśniły niczym rozprysnięte szkło na niemożliwie ciemnym przestworze nieba. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że tu weszła, dostałaby szlaban do końca życia. Wychodzenie na zewnątrz powyżej 150 piętra było zabronione: wszystkie tarasy powyżej tego poziomu były chronione przed gwałtownymi podmuchami wiatru za pomocą mocnych szyb ze szkła polietylenowego.

Avery zastanawiała się, czy ktokolwiek poza nią postawił tu kiedyś stopę. Wzdłuż jednej krawędzi dachu ciągnęły się barierki zabezpieczające, prawdopodobnie zamontowane na wypadek, gdyby musiała tu wejść ekipa konserwatorów budynku, ale z tego, co wiedziała Avery, nikt tu nigdy nie zaglądał.

Nie wspomniała o swoim odkryciu Atlasowi. Był to jeden z zaledwie dwóch sekretów, którymi się z nim nie podzieliła. Gdyby Atlas się dowiedział, zadbałby o to, żeby już nigdy tu nie wróciła, tymczasem Avery nie potrafiła znieść myśli, że miałyby z tego zrezygnować. Uwielbiała tu przesiadywać – uwielbiała wiatr, który chłostał jej twarz, szarpał włosy, wyciskał lzy z oczu i huczał tak głośno, że zagłuszał jej własne szalone myśli.

Avery podeszła bliżej do krawędzi dachu i spojrzała na panoramę miasta, upajając się zawrotem głowy i uczuciem wirowania w brzuchu. Poniżej miejskie kolejki przecinały powietrzem niczym fluorescencyjne węże. Horyzont wydawał się tak niesamowicie odległy. Spojrzenie Avery sięgało teraz od świateł New Jersey na zachodzie po ulice Bezmieścia na południu i Brooklyn na wschodzie, a nawet jeszcze dalej, aż po grafitowy odbłask Atlantyku.

Pod jej bosymi stopami znajdowała się największa budowla na ziemi, sama w sobie będąca zamkniętym światem. „Jakie to dziwne”, pomyślała Avery. Poniżej niej żyły miliony ludzi, którzy w tej właśnie chwili jedli, spali, śnili lub się dotykali. Zamrugła, czując się nagle nieznośnie samotna. Wszyscy ci ludzie byli dla niej obcy, nawet ci, których znała. Czemu miałyby się przejmować ich albo też swoim losem, albo w ogóle czymkolwiek?

Oparła łokcie o barierkę i zadrżała. Jeden nieostrożny ruch i będzie po niej. Nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak by to było lecieć cztery kilometry w dół. Wyobrażała sobie, że w chwili gdy osiągnęłaby prędkość graniczną, pewnie ogarnąłby ją dziwny spokój i uczucie nieważkości. A zanim zdążyłaby uderzyć o ziemię, pewnie i tak od dawna już by nie żyła z powodu ataku serca. Przymknąwszy oczy, Avery przechyliła się do przodu, zawijając o brzeg dachu palce stóp z pomalowanymi na srebrno paznokciami i właśnie w tej chwili wnętrza jej powiek rozjaśniły się, a jej szkła kontaktowe zarejestrowały nadchodzące pingnięcie.

Zawahała się, a imię, jakie wyświetliło się na szklach, sprawiło, że zalała ją fala ekscytacji wymieszanej z wyrzutami sumienia. Przez całe lato tak skutecznie udawało jej się unikać tej sprawy: najpierw przebywała na wymianie uczniów we Florencji, a ostatnio była zajęta Zayem. W końcu jednak Avery odwróciła się od krawędzi dachu i zeszła szybko po drabinie.

– Hej – powiedziała zdyszonym głosem, gdy już znalazła się z powrotem w spiżarni. Mówiła szeptem, choć w pobliżu nie

było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. – Dawno się nie odzywa-
łeś. Gdzie jesteś?

– W zupełnie nowym miejscu. Spodobałoby ci się tutaj. – Jego
głos brzmiał tak samo jak zawsze, był ciepły i głęboki. – Co u cie-
bie, Aves?

To właśnie był główny powód, dla którego Avery wyszła na
zewnątrz na szalejący wokół Wieży wiatr. Chciała uciec przed
własnymi myślami, których najwyraźniej nie udało się odpo-
wiednio zaprojektować podczas procesu inżynierii genetycznej.

Osobą, z którą rozmawiała, był jej brat Atlas – to właśnie
z jego powodu postanowiła już nigdy w życiu nie pocałować in-
nego chłopaka.

LEDA

Gdy kopter minął East River i znalazł się nad Manhattanem,
Leda Cole pochyliła się i przycisnęła twarz do szyby z fleksiglasu,
żeby mieć lepszy widok.

W tej pierwszej chwili, gdy jej oczom ukazywała się panorama
miasta, zawsze było coś magicznego, zwłaszcza teraz, kiedy okna
na wyższych piętrach wręcz płonęły w popołudniowym słońcu.
Pod neochromową powierzchnią migały kolorowe punkty wind
mknących w szybach, które były niczym naczynia krwionośne
pompujące krew w dół i w górę miejskiego organizmu. Leda po-
myślała, że miasto wygląda tak jak zawsze: całkowicie nowoczes-
ne, a jednak w pewnym sensie ponadczasowe. Wielokrotnie wi-
działa zdjęcia przedstawiające panoramę starego Nowego Jorku,
który ludzie tak idealizowali. Jednak według niej w porównaniu
z Wieżą wydawał się brzydki i poszarpany.

– Cieszysz się, że wracasz do domu? – spytała ostrożnie
mama, spoglądając z drugiej strony przejścia na Ledę. Ta skinęła

tylko zdawkowo głową, nie zadając sobie trudu, żeby się odezwać. Odkąd rodzice odebrali ją dziś rano z kliniki odwykowej, prawie z nimi nie rozmawiała. A w zasadzie nie rozmawiała z nimi od tamtej sytuacji w lipcu, przez którą trafiła na odwyk.

– Możemy zamówić dziś Miatzę? Od tygodni chodzi za mną burger dodo – odezwał się jej brat Jamie, wyraźnie próbując poprawić nieco nastroj. Ale Leda go zignorowała. Jamie był od niej tylko jedenaście miesięcy starszy i właśnie miał zacząć ostatnią klasę liceum, ale nie byli sobie zbyt bliscy. Prawdopodobnie dlatego, że w niczym nie byli do siebie podobni.

Jamie był nieskomplikowany, bezpośredni i wydawało się, że nigdy się nie martwił. Oboje z Ledą nawet podobnie nie wyglądal i: podczas gdy Leda miała ciemną karnację i była energiczna podobnie jak jej mama, Jamie miał cerę bladą tak jak ojciec i pomimo największych wysiłków siostry zawsze wyglądał koszmarnie. W tym momencie paradował z krzaczastą brodą, którą najwyraźniej zapuszczał przez ostatnie miesiące.

– Zamówimy to, na co tylko Leda ma ochotę – odparł tata. Jasne, tak jakby możliwość wybrania obiadu miała wynagrodzić jej całą resztę.

– Wszystko mi jedno. – Leda zerknęła na nadgarstek. Dwa małe ślady po nakłuciach, pozostałości po bransoletce monitorującej, którą musiała nosić przez całe lato, stanowiły jedyny dowód jej pobytu w Srebrnej Zatoce, ośrodku, który wbrew swojej nazwie znajdował się z dala od oceanu, w środkowej Nevadzie.

Leda nie mogła jednak obwiniać o wszystko rodziców. Gdyby wtedy w lipcu sama znalazła się na ich miejscu, to też wysłałaby siebie na odwyk. Kiedy trafiła do ośrodka, wyglądała upiornie: była wściekła i agresywna, nakręcona xenperedrenem i kto wie czym jeszcze. Potrzebowała jednego pełnego dnia pod kroplówką z „sokiem szczęścia”, jak mawiały dziewczyny ze Srebrnej Zatoki, czyli płynem ze środkami uspokajającymi i dopaminą, zanim w ogóle zgodziła się porozmawiać z lekarzami.

Kiedy jednak organizm zaczął powoli oczyszczać się z narkotyków, wraz z nimi zniknął też gorzki smak urazy do rodziców. W jej miejscu pojawił się wstyd: lepki, nieprzyjemny wstyd. Leda zawsze obiecywała sobie, że zachowa nad sobą kontrolę, że nie stanie się taka jak jeden z tych żalonych ćpunów, jakich pokazywali im na hologramach podczas pogadank w szkole. A mimo wszystko wylądowała na odwyku z igłą kroplówki wkłutą w żyłę.

– Dobrze się czujesz? – spytała jedna z pielęgniarek, widząc jej minę.

„Nigdy nie pozwól, żeby widzieli, jak płaczesz”, upomniała się w myślach Leda i kilkoma mrugnięciami powstrzymała łzy.

– Oczywiście – zdołała odpowiedzieć pewnym głosem.

Ostatecznie Ledzie udało się odnaleźć na odwyku pewien spokój, ale nie za sprawą jej beznadziejnego psychiatry, tylko dzięki medytacji. Poświęcała jej niemal każdy rano, siedząc ze skrzyżowanymi nogami i powtarzając mantry, które wygłaszała monotonnym głosem guru Vashmi: „Niech moje działania mają sens. Jestem swoim największym sprzymierzeńcem. Dam sobie radę sama”. Co jakiś czas Leda otwierała oczy i przez lawendowy dym przyglądała się pozostałym dziewczynom obecnym w namiocie do jogi. Wszystkie miały udręczone, zaszczuty wyraz twarzy, jakby ktoś je tutaj zagonił i teraz bały się wyjść. „Nie jestem taka jak one”, powtarzała sobie wtedy Leda, prostowała plecy i ponownie przymykała oczy. W przeciwieństwie do tych dziewczyn ona nie potrzebowała narkotyków.

Teraz znajdowali się zaledwie kilka minut od Wieży. Nagły niepokój sprawił, że Leda poczuła uścisk w żołądku. Czy była na to gotowa? Gotowa, żeby tu wrócić i zmierzyć się z tym wszystkim, co wpakowało ją w kłopoty?

Chociaż nie ze wszystkim. Atlasa wciąż nie było w mieście.

Przymknąwszy oczy, wymamrotała kilka słów, nakazując swoim szkłom otwarcie skrzynki odbiorczej, którą sprawdziła niemal bez przerwy, odkąd opuściła rano odwyk i znów miała dostęp do sieci. Trzy tysiące nagromadzonych przez lato

wiadomości pingnęło jednocześnie w jej uszach, zaproszenia i powiadomienia wideo spływały jedno po drugim niczym kaskada dźwięków. Ten gwar zainteresowania wydał jej się osobliwie kojący.

Na samym szczycie znajdowała się nowa wiadomość od Avery: „Kiedy wracasz?”.

W każde wakacje rodzice zmuszali Ledę, by jechała wraz z nimi na coroczne odwiedziny w ich „domu” w jakiejś zapadłej miejscinie w Illinois.

– Moim domem jest Nowy Jork – protestowała za każdym razem, ale rodzice ją ignorowali. Szczерze mówiąc, w ogóle nie rozumiała, po co rodzice jeżdżą tam rok w rok. Gdyby udało jej się to, czego oni dokonali – przeprowadzili się z Danville do Nowego Jorku jako nowożeńcy dokładnie w tym czasie, kiedy powstała Wieża, i powoli pięli się w górę, aż w końcu stać ich było na to, żeby zamieszkać na upragnionych wyższych piętrach – w ogóle nie oglądałaby się za siebie.

A mimo to rodzice Ledy z uporem maniaka wracali każdego roku do swego rodzinnego miasteczka i spędzali lato z dziadkami w zacofanym technologicznie domu, w którym pod dostatkiem było jedynie masła sojowego i mrożonych posiłków. Ledzie nawet podobały się te wyprawy, kiedy jeszcze była mała i traktowała je po prostu jako kolejną przygodę. Jednak gdy dorosła, zaczęła błagać rodziców, by zostawili ją w Nowym Jorku. Miała już dość towarzystwa kuzynów ubranych w tandetne, produkowane masowo ubrania i patrzących na nią dziwnymi, pozbawionymi szkieł kontaktowych źrenicami. Ale bez względu na to, jak bardzo protestowała, nigdy nie mogła wykręcić się od wyjazdu. Aż do tego roku.

„Właśnie wracam!”, odpowiedziała przyjaciółce Leda, wymawiając na głos treść wiadomości i kiwając głową, żeby ją wysłać. Wiedziała, że powinna powiedzieć Avery o Srebrnej Zatoce, bo w trakcie terapii wiele rozmawiali o odpowiedzialności oraz pomocy ze strony przyjaciół. Ale na samą myśl, że miałyby

wyjawić to Avery, Leda tak mocno zacisnęła dłonie na siedzeniu, aż zbieleły jej knykcie. Nie mogła przyznać się do takiej słabości przed swoją perfekcyjną najlepszą przyjaciółką, nie potrafiła tego zrobić. Oczywiście Avery zachowa się wobec niej uprzejmie, ale Leda wiedziała, że gdzieś w głębi duszy z pewnością ją osądzi i od tej pory będzie ją traktować nieco inaczej. Tego Leda by nie zniosła.

Avery знаła tylko część prawdy: zdawała sobie sprawę, że Leda bierze od czasu do czasu xenperedren, głównie przed egzaminami, żeby mieć sprawniejszy umysł... oraz że kilka razy spróbowała czegoś mocniejszego, razem z Cordem, Rickiem i resztą paczki. Avery nie miała jednak pojęcia, jak głęboko Leda wciągnęła się w nałóg pod koniec minionego roku, po powrocie z Andów, a już z pewnością nie wiedziała o tym, co działo się tego lata.

W końcu dotarli do Wieży. Kopter zakołysał się przez chwilę jak pijany przed bramą do położonego na 700 piętrze lądowiska: nawet z użyciem stabilizatorów nie mógł do końca oprzeć się podmuchom wiatru wiejącego wokół Wieży z siłą huraganu. Wreszcie zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i wylądował w hangarze. Leda podniosła się z siedzenia i tuż za rodzicami zesłała po schodkach. Mama już prowadziła z kimś rozmowę, narzekając pewnie na jakąś nieudaną transakcję.

– L e d a! – Nagle rzuciła się na nią dziewczyna z burzą blond włosów i zamknęła ją w uścisku.

– Avery. – Leda uśmiechnęła się, próbując delikatnie wyplątać się z włosów przyjaciółki. Zrobiła krok w tył, spojrzała na nią i od razu ogarnęła ją niepewność, momentalnie wróciły wszystkie jej dawne kompleksy. Widok Avery po dłuższym czasie nieobecności zawsze stanowił dla niej szok. Leda starała się o tym nie myśleć, ale czasami nie mogła się nadziwić, jak niesprawiedliwy bywa los. Avery miała już doskonałe życie – mieszkała przecież w penthousie na tysięcznym piętrze. Czy do tego musiała też być doskonała? Gdy Leda widziała Avery

w towarzystwie Fullerów, nie mogła uwierzyć, że jej przyjaciółka powstała z ich DNA.

Przyjaźń z dziewczyną, która wyglądała zbyt idealnie, by ktokolwiek mógł uwierzyć, że została stworzona siłami natury, czasami była wyjątkowo trudna. Leda pewnie została poczęta podczas zakrapianej tequilą nocy w rocznicę ślubu rodziców.

– Chcesz się stąd wyrwać? – spytała błagalnym tonem Avery.

– Jasne – odparła natychmiast Leda. Dla Avery zrobiłaby wszystko, tyle że teraz nawet nie trzeba jej było do tego specjalnie namawiać.

Avery odwróciła się, żeby przywitać się z rodzicami Ledy.

– Panie Cole! Pani Cole! Witajcie w domu. – Leda przyglądała się, jak jej rodzice ze śmiechem ściskają się z Avery, otwierając się niczym kwiaty na słońcu. Nikt nie potrafił się oprzeć urokowi dziewczyny.

– Mogę porwać państwa córkę? – spytała Avery, a oni skinęli głowami. – Dziękuję, odstawię ją przed kolacją! – zawołała, ciągnąc uparcie Ledę za ramię w stronę głównej arterii 700 piętra.

– Poczekaj chwilę – odezwała się Leda. W zestawieniu ze świeżo wyprasowaną czerwoną spódnicą i krótką koszulą Avery jej własny strój, w którym wyszła z odwyku, czyli zwykły szary T-shirt i dżinsy, wyglądał dość nędznie. – Jeśli mamy wyjść, chciałabym się przebrać.

– Myślałam, że wyskoczmy tylko do parku. – Avery zamrugała szybko, a jej źrenice zaczęły się gwałtownie poruszać, gdy próbowała przywołać hovera. – Umówiłam się tam z kilkoma dziewczynami i wszystkie chcą cię zobaczyć. Może być?

– Oczywiście – odpowiedziała automatycznie Leda, ukrywając cień irytacji, że nie będzie mogła porozmawiać z przyjaciółką sam na sam.

Przeszły przez podwójne drzwi lądowiska kopterów i znalazły się na głównej ulicy, obok ogromnego węzła komunikacyjnego obejmującego kilka przecznic. Strop nad ich głowami jarzył się jasnym błękitem. Ledzie widok ten wydawał się równie piękny jak

wszystko inne, co widziała podczas popołudniowych wycieczek w Srebrnej Zatoce. Ale Leda nie była typem osoby, która szukałaby piękna w przyrodzie. Piękno było dla niej słowem zarezerwowanym dla drogiej biżuterii, sukienek oraz twarzy Avery.

– No to opowiadaj – powiedziała Avery w typowy dla siebie bezpośredni sposób, gdy weszły na chodnik z włókien węglowych, biegnący wzdłuż srebrzystych ścieżek dla hoverów. Cylindryczne boty z przekąskami toczyły się po ulicy na ogromnych kołach, sprzedając liofilizowane owoce i kapsułki z kawą.

– O czym? – Leda postanowiła zachować ostrożność. Z lewej strony pędziły hovery, poruszające się niczym ławica ryb zwinnymi i skoordynowanymi ruchami. Były podświetlone na zielono lub na czerwono w zależności od tego, czy były wolne czy zajęte. Leda instynktownie przysunęła się bliżej Avery.

– O Illinois. Było tak strasznie jak zwykle? – Oczywiście stały się nagle nieobecne. – Wzywam hovera – rzuciła pod nosek i jeden z pojazdów odłączył się od stada.

– Chcesz jechać hoverem aż do parku? – zagadnęła Leda, unikając odpowiedzi na pytanie przyjaciółki. Starła się, by jej głos brzmiał w miarę normalnie. Zapomniała już o obłędnej liczbie ludzi znajdujących się w Wieży: matki ciągnęły za sobą dzieci, biznesmeni mówili głośno do swoich soczewek, pary spacerowały, trzymając się za ręce. Po kojącej ciszy, jaka panowała w ośrodku odwykowym, cały ten ruch ją przytłaczał.

– Wróciłaś, to specjalna okazja! – wykrzyknęła Avery.

Leda wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się akurat wtedy, gdy zawisł przed nimi hover. Był to dwuosobowy, wyłożony wewnątrz jasnożółtym pluszem pojazd, który unosił się kilka centymetrów nad ziemią dzięki zamontowanym w podłodze magnetycznym prętom napędowym. Avery zajęła miejsce naprzeciwko Ledy, wstukała cel podróży i dała hoverowi sygnał do startu.

– Może w przyszłym roku nie będziesz musiała tam jechać. Wtedy mogłybyśmy podróżować razem – ciągnęła Avery, gdy hover zaczął opadać jednym z pionowych korytarzy Wieży.

Oświetlające tunel żółte światła tańczyły na policzkach dziewczyny, tworząc dziwaczne wzory.

– Może. – Leda wzruszyła ramionami. Koniecznie musiała zmienić temat. – A tak w ogóle masz niesamowitą opaleniznę. Skąd ją przywiozłaś, z Florencji?

– Z Monako. Mają tam najpiękniejsze plaże na świecie.

– Na pewno nie lepsze niż te w pobliżu domu twojej babci w Maine. – Spędziły tam tydzień po pierwszej klasie liceum, wygrając się na słońcu i podpijając porto z barku babci Lasserre.

– Racja. W Monako nie było nawet żadnych przystojnych ratowników – przyznała ze śmiechem Avery.

Hover zwolnił, skręcił na 307 piętro i zaczął poruszać się poziomo. Normalnie pojawienie się na tak niskim piętrze byłoby poniżej ich statusu, ale wizyty w Central Parku należały do wyjątków. Gdy zatrzymały się przy północno-wschodnim wejściu, Avery odwróciła się do Ledy, a jej ciemnoniebieskie oczy nabrały nagle powagi.

– Cieszę się, że wróciłaś – oznajmiła. – Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą też – odparła cicho Leda.

Weszła za Avery do parku. Minęły słynną czereśnię, która została tu przesadzona z oryginalnego Central Parku. Kilku turystów opierało się o okalający ją płot, robili sobie zdjęcia i na interaktywnym ekranie dotykowym czytali historię drzewa. Tylko ono pozostało ze starego parku, który spoczywał teraz głęboko pod ich stopami, poniżej fundamentów Wieży.

Dziewczyny skręciły w kierunku wzgórza, na którym zapewne czekały już ich przyjaciółki. Avery i Leda odkryły to miejsce w siódmej klasie i po licznych eksperymentach doszły do wniosku, że jak żadne inne nadaje się ono do wylegiwania się w wolnym od ultrafioletowych promieni świetle lampy słonecznej. Kiedy szły, spektratrawa wzdłuż ścieżki zmieniała barwę z miętowozielonej na delikatny odcień lawendowego. Po lewej stronie przez park przebiegł rysunkowy holograficzny krasnal, za którym podążał tłumek piszczących dzieciaków.

– Avery! – Risha zauważyła je pierwsza. Leżące na kolorowych ręcznikach pozostałe dziewczyny uniosły się lekko i zaczęły im machać. – Leda! A ty kiedy wróciłaś?

Avery klapnęła na ziemię pośrodku grupy, zakładając za ucho kosmyk włosów w kolorze lnu, a Leda usiadła obok.

– Dosłownie przed chwilą. Przyszłam tu prosto z koptera – odparła, wyciągając z torby staroświeckie okulary słoneczne mamy. Mogła wprawdzie ustawić swoje szkła kontaktowe na tryb blokujący światło, ale te okulary stanowiły w pewnym sensie jej znak rozpoznawczy. Podobało jej się, że miała w nich taki nieodgadniony wyraz twarzy.

– A gdzie Eris? – zapytała, choć wcale jakoś szczególnie za nią nie tęskniła. Ale jeśli chodziło o opalanie, na Eris zawsze można było liczyć.

– Pewnie na zakupach. Albo z Cordem – rzuciła Ming Jiaozu, tłumiąc cień rozgoryczenia w głosie.

Leda nie odezwała się, zaskoczona tym, co usłyszała. Nie dostrzegła nic na temat Eris i Corda, gdy sprawdzała rano feedy. Inna rzecz, że nigdy nie potrafiła nadążyć za Eris, która umawiała się – lub przynajmniej pokazywała – z blisko połową chłopców i dziewczyn z klasy, z niektórymi nawet więcej niż raz. Ale była najstarszą przyjaciółką Avery i pochodziła ze starego zamożnego rodu, w związku z czym praktycznie wszystko uchodziło jej na sucho.

– Jak ci minęło lato, Leda? – spytała Ming. – Byłaś z rodziną w Illinois, prawda?

– Tak.

– To musiało być o k r o p n e, całe wakacje w takim wygwizdowie – stwierdziła przesłodzonym tonem Ming.

– Jakoś udało mi się przeżyć – odparła Leda, nie dając się sprowokować. Ming dobrze wiedziała, jak bardzo Leda nie cierpi rozmawiać o korzeniach swoich rodziców. Przypominało jej to, że nie wywodzi się z tego samego środowiska co reszta jej znajomych i że dopiero w siódmej klasie przeprowadziła się tu wraz z rodziną z przedmieść śród-Wieży.

– A ty jak się bawiłaś w Hiszpanii? – Leda spytała Ming. – Poznałaś jakichś miejscowych?

– Nie bardzo.

– Zabawne. Na feedach wyglądało, jakbyś zawarła tam kilka naprawdę bliskich znajomości. – Wcześniej, gdy zaczęły jej się łądować wszystkie wiadomości z wakacji, Leda zauważyła kilka fotek Ming z jakimś młodym Hiszpanem wskazujących na to, że musiało między nimi do czegoś dojść. Świadczyła o tym nie tylko mowa ich ciał, ale także brak podpisów pod zdjęciami. Teraz dodatkowo potwierdził to rumieniec, jakim nagle oblała się Ming.

Ming nie skomentowała tego nawet jednym słowem, a Leda pozwoliła sobie na drobny uśmiech. Gdy bowiem ktoś próbował jej dogryźć, ona odpowiadała tym samym.

– Avery – odezwała się Jess McClane, pochylając się w jej stronę. – Zerwałaś z Zayem? Wpadłam dziś rano na niego i sprawiał wrażenie zdołowanego.

– Tak – Avery odparła z lekkim ociąganiem. – To znaczy... tak mi się wydaje. Lubię go, ale... – urwała w pół zdania.

– O Boże, Avery. Powinnaś wreszcie to zrobić i mieć sprawę z głową! – wykrzyknęła Jess. Złote bransoletki na jej nadgarstku zaśniły w blasku panelu słonecznego. – Na co ty konkretnie czekasz? A może raczej na kogo?

– Daruj sobie, Jess – warknęła na nią Leda. – Ty akurat nie masz w tej sprawie nic do gadania. – Przyjaciółki zawsze wyglądały takie uwagi pod adresem Avery, ponieważ do niczego innego tak naprawdę nie mogły się przyczepić. W przypadku Jess było to zresztą pozbawione jakichkolwiek podstaw. Sama była przecież dziewicą.

– Prawdę mówiąc, mam – oznajmiła wymownie Jess. W tym momencie nastąpił zbiorowy wybuch pisków.

– Chwila, ty i Patrick?

– Kiedy?

– Gdzie?

Jess uśmiechnęła się szeroko, wyraźnie nie mogąc się doczekać, aż podzieli się szczegółami. Leda odchyliła się na łokciach, udając, że słucha. Według wszystkich dziewczyn ona też wciąż była dziewicą. Nikomu nie powiedziała prawdy, nawet Avery. I nigdy tego nie zrobi.

Wydarzyło się to w styczniu podczas dorocznego wypadu na narty do Catyan. Ich rodziny jeździły tam od lat: z początku tylko Fullerowie i Andertonowie, a odkąd Leda i Avery tak bardzo się ze sobą zaprzyjaźniły, także i Cole'owie. Andy były najlepszym miejscem do jazdy na nartach, jakie jeszcze pozostało na Ziemi. Nawet w Kolorado i w Alpach używano ostatnio prawie wyłącznie armatek śnieżnych. Tylko w Chile, na najwyższych szczytach Andów, leżało dostatecznie dużo naturalnego śniegu, by można było na nim uprawiać prawdziwe, klasyczne narciarstwo.

W drugi dzień wycieczki wszyscy – Avery, Leda, Atlas, Jamie, Cord, a nawet Brice, starszy brat Corda – byli holowani przez ski-drony, po czym zeskakiwali ze swoich krzeselek, lądowali na śnieżnym puchu, szusowali pomiędzy drzewami i znów chwyтали się dronów tuż przed opadającą stromo w dół krawędzią lodowca. Leda nie była tak dobrą narciarką jak pozostali, ale w drodze na górę połknęła pigułkę z adrenaliną i czuła się dobrze — tak dobrze jak wtedy, gdy raz podwędziła mamie n a p r a w d ę mocny towar. Zjeżdżała za Atlasem pomiędzy drzewami, starając się za nim nadążyć, i rozkoszowała się podmuchami wiatru, który szarpał jej narciarskim kombinezonem. Słyszała tylko chrzęst swoich nart sunących po śniegu, a poniżej głąbokie, głuchoe odgłosy pustki. Przez głowę przemknęło jej, że pędząc po cienkim jak papier lodzie tuż nad samym skrajem przepaści, kuszą los.

I właśnie wtedy rozległ się krzyk Avery.

To, co nastąpiło potem, Leda pamięta jak przez mgłę. Próbowała wymacać w swojej rękawicy czerwony guzik, który w sytuacji zagrożenia miał przywołać jej ski-drona. Ale kilka metrów dalej Avery już została poderwana do góry. Jedna jej noga wystawała pod dziwnym kątem.

Gdy wrócili do hotelowego apartamentu, Avery znajdowała się już w odrzutowcu w drodze do domu. Pan Fuller uspokoił wszystkich, że nic jej nie będzie, musi tylko poddać się zabiegowi rekonstrukcji kolana i zostać zbadana przez nowojorskich ekspertów. Leda wiedziała, co to oznacza. Avery miała odwiedzić Everetta Radsona, który przeprowadzi na niej operację mikrolaserem. Boże broń, żeby jej doskonałe ciało miała oszpecić choćby najdrobniejsza blizna.

Wieczorem tego samego dnia wszyscy wskoczyli na tarasie do jacuzzi z gorącą wodą, podawali sobie mrożone butelki likieru Baileys i wznosili toasty za Avery, za Andy i za śnieg, który właśnie zaczął padać. Gdy zaczęło naprawdę mocno sypać, większość przyjaciół z pomrukiem niezadowolenia wyszła z kąpieli i pomaszerowała spać. Ale Leda, która siedziała obok Atlasa, została. On również się nie ruszył.

Pragnęła Atlasa od dawna, odkąd ona i Avery zostały przyjaciółkami, od chwili gdy po raz pierwszy zobaczyła go w ich mieszkaniu. Wszedł do niego nagle, a Leda, która akurat śpiewała razem z Avery jakąś piosenkę z filmu Disneya, zacerwieśniała się ze wstydu. Nigdy nie sądziła, że ma u niego jakieś szanse. Był od niej dwa lata starszy, a poza tym był bratem Avery. Aż do chwili, w której wszyscy zaczęli wychodzić z jacuzzi, a ona zaważała się, zastanawiając, czy może czasem... Skóra wręcz parzyła ją w miejscu, w którym Atlas otarł się o nią pod wodą kolanem, wywołując mrowienie w całej lewej stronie jej ciała.

– Chcesz trochę? – zaproponował Atlas, podając jej butelkę.

– Dzięki. – Leda siłą woli oderwała wzrok od jego rzęs, na których niczym maleńkie, topniejące gwiazdy zbierały się płatki śniegu. Upiła duży łyk. Likier był delikatny i słodki jak deser, ale pozostawiał po sobie uczucie palenia w gardle. Poczowała, że od gorącej kąpieli i bliskości Atlasa kręci jej się lekko w głowie. Może działała jeszcze ta pigułka z adrenaliną, a może to jej własne podniecenie sprawiło, że zupełnie straciła nad sobą kontrolę.

Manhattan. Rok 2118.

Sercem Nowego Jorku jest tysiącpiętrowa Wieża dla wybranych. Jest tam wszystko, czego potrzeba do życia. Im ktoś bogatszy, tym wyżej może mieszkać.

Avery, zaprojektowana genetycznie idealna siedemnastolatka, wraz z bogatymi rodzicami i przybranym bratem Atlasem mieszka na tyśięcznym piętrze Wieży. Avery skrywa pewien sekret – Atlas jest dla niej kimś więcej niż tylko bratem. Kocha się w nim również jej przyjaciółka Leda. Jednak jest to nieszczęśliwe uczucie, które wpędza ją w uzależnienie. Sytuację dziewczyny komplikuje podejrzenie, że coś dziwnego łączy jej ojca z Eris, koleżanką Ledy mieszkającą na jednym z niższych pięter... Nikt z bohaterów nie zdaje sobie sprawy, że jest ktoś, kto zna ich tajemnice i może je wykorzystać do swoich celów.

**JEDNA Z CIEKAWSZYCH POWIEŚCI, JAKIE OSTATNIO CZYTAŁAM.
PEŁNE INTRYGI I SEKRETÓW ŻYCIE NASTOLATKÓW WCIĄGA
JAK DOBRY FILM. A DODATKOWO WIZJA
PRZYSZŁOŚCI, KTÓRA ZASKAKUJE. NIE DASZ RADY SIĘ ODERWAĆ!**

Agnieszka Kaczorowska

**LUKSUSOWE ŻYCIE MANHATTAŃSKIEJ ELITY STAŁO SIĘ
JESZCZE BARDZIEJ NIEZWYKŁE W FUTURYSTYCZNEJ,
NIESAMOWICIE WCIĄGAJĄCEJ I UZALEŻNIAJĄCEJ POWIEŚCI
KATHARINE MCGEE. TYSIĄC PIĘTER ZAWRÓCI CI W GŁOWIE I OBUDZI
NIEPOSKROMIONY APETYT NA WIĘCEJ.**

Cecily von Ziegesar, autorka bestsellerowej serii *Plotkara*



ISBN 978-83-7515-249-4

Cena detal. 36,90 zł

E-book dostępny na
woblink.com